

KOCUR

O tym jak gangster
porwał kota

Katarzyna
Pietrzak



Katarzyna Pietrzak

KOCUR



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2019

Katarzyna Pietrzak
„Kocur”

Copyright © by Katarzyna Pietrzak, 2019
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: Wioletta Tomaszewska

Projekt okładki: Adam Brychcy

Zdjęcie na okładce: Stockwerk.dk

Autor zrezygnował z korekty

Skład epub, mobi i pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-567-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści:

Prolog	7
I	10
II	28
III	45
IV	69
V	85
VI	104
VII	126
VIII	147
IX	164
X	189
XI	211
XII	233
XIII	255
XIV	276
XV	298
XVI	321
XVII	346
XVIII	362
Epilog	382

*„Wczorajszy żal dzisiaj powinien być
tylko wspomnieniem...”*

Dla Ciebie, za to, że zdecydowałeś/łaś
się wziąć tę książkę do ręki...

Prolog

Skradał się powoli do kuchni, słyszał kroki dochodzące z tamtej strony. Wiedział, że jeśli teraz popełni błąd to będzie go to dużo kosztowało. Nie miał zamiaru się poddać ani popełnić błędu, to nie leżało w jego naturze. Z resztą, gdyby nie był mistrzem w swoim fachu to, po co miałby to robić? Po co ryzykować? Może, dlatego, że uwielbiał adrenalinę...

Wyjrzał zza futryny i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie było tam nikogo. Jedyne źródło światła stanowiły małe halogeny zamontowane nad blatem. Postanowił się wychylić i iść dalej, w kierunku salonu. Obserwował wszystko dookoła, szukając łąpczywie choćby najmniejszego ruchu. Jednak jego przeciwnik był na tyle bystry, żeby wiedzieć, jak ma uciekać.

Zamierzał go dopaść i zakończyć to okropne przedstawienie jednym celnym strzałem. Dzierżył dumnie w dłoni Glocka 33 z pełnym magazynkiem. Tłumik nie był potrzebny, dom znajdował się w zupełnie odludnej części stanu New Jersey, dobre kilka kilometrów od jakiegokolwiek innej żywej istoty ludzkiej.

Miał ochotę szybko skończyć to zlecenie, wrócić do swojego mieszkania i położyć się przed telewizorem na kanapie. Czuł na sobie słodki dotyk ekscytacji, tak jak przed każdym strzałem. Jednak teraz był jednocześnie dziwnie niespokojny. Wszystko wydawało się doskonale przygotowane, wręcz perfekcyjnie. Nie miało szansy się nie udać... Jednak coś mu nie pasowało, nigdy

wcześniej nie miał takiego odczucia. Drażniło go to i pobudzało jeszcze bardziej, aby zakończyć tę rozgrywkę.

Skradał się najciszej jak tylko umiał, był nienaturalnie skupiony i pozbawiony wszelkich możliwych uczuć. Od drzwi do salonu dzieliło go tylko wyciągnięcie ręki. Już miał nacisnąć klamkę, jednak cofnął rękę. Nie mógł sobie pozwolić na taką nieostrożność. Stał pod ścianą, tuż obok solidnej drewnianej futryny i jednym płynnym ruchem nacisnął na klamkę. Rękę zabrał jeszcze szybciej, dosłownie ułamek sekundy przed serią pocisków wchodzących w drewno jak w masło i przelatujących dalej.

Słyszał stukanie łusek o podłogę. Wystrzały zdawały się nie mieć końca, jednak już po dwóch minutach wszystko ucichło. Normalny człowiek pomyślałby, że najprościej byłoby teraz wejść do środka i po prostu zastrzelić gnoja, ale nie zabójca. Cierpliwie czekał, nawet nie oddychał. Nie potrafiłby zdradzić się w tak głupi sposób. Wiedział, że jego cel za chwilę wyjdzie przez te same drzwi, które wcześniej przerobił na imitację szwajcarskiego sera.

Musiał wyjść, przecież nie mógł nawet podejrzewać, że ten, kto teoretycznie stał na linii strzałów mógł przeżyć. A jednak... Dlaczego nie wychodził, żeby się upewnić? Czego zabrakło? Huku upadającego ciała...

Wiedział, że o czymś zapomni, wiedział, że to spieprzy. Przeklinał siebie w duchu za swoją głupotę. Miał na swoim koncie prawie czterysta celnych strzałów, a każdy z nich dawał mu satysfakcję większą niż pieniądze, które za niego otrzymywał. Miał przecucie, że nie docenił przeciwnika. Zupełnie tak jakby jego cel znał go na wskroś. Ale to nie było

możliwe. Nikt go nie znał. Nikt nie miał prawa. Nikogo do siebie nie dopuszczał, więc nie było takiej opcji, a jednak...

Powoli przesuwał się w stronę otwartego okna w kuchni. Wskoczył na blat zwinnie niczym kot, a potem robiąc jeden płynny ruch, wyskoczył przez okno i wylądował gładko na ziemi. A przy tym wszystkim nie wzbudził ani jednego dźwięku, zupełnie jak ninja. Był doskonałym drapieźnikiem, urodzonym zabójcą, którego nikt nie widział po raz drugi.

Przesuwał się wzdłuż ściany, pod okno w salonie. Kątem oka zajrzał do środka, żeby zobaczyć, co się tam działo, ale nie dostrzegł niczego, a co ważniejsze – nikogo. Usłyszał za to coś, dźwięk odpalanej terenówki po drugiej stronie budynku. Cholera. Nie przewidział tego, jak mógł... Przeklinał swoją głupotę, a teraz próbował ją naprawić. Biegł szybko w stronę samochodu. Wsiadł do swojego BMW i ruszył za uciekinierem...

Droga się dłużyła, zwłaszcza, że nie padły żadne konkretne strzały przez pierwsze dwa kilometry. W końcu nie wytrzymał przycisnął gaz najmocniej jak tylko mógł i w mgnieniu oka znalazł się obok terenówki. Otworzył okno i już miał strzelić, gdyby nie to, co zobaczył... Za kierownicą siedziała młoda kobieta, prawie dziewczynka. Miała dwie blond kitki po bokach głowy i wielkie, przerażone, ciemne oczy...

Patrzył na nią, jednocześnie omijając przeszkody na trasie. Ona nie była jego celem, mogła być, co najwyżej córką jego celu. Puścił gaz i został daleko za terenówką. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Był idiotą. Trzymał swój pistolet w dłoni i miał ochotę władować w coś cały magazynek. A jeśli ona go widziała? Czy go rozpozna? Powinien był ją zastrzelić, ale nie umiał skrzywdzić kobiety ani dziecka...

Kiedy samochód się zatrzymał, położył głowę na kierownicy i zaczął ciężko oddychać. Był wściekły. Jak mógł pomylić kroki gangstera z krokami dziewczynki. Ale skoro to było tylko dziecko to jak mogła prowadzić samochód? Miał w głowie mętlik kręcący się wokół słów: „Zawiodłeś, jesteś idiotą”. Popatrzył w lusterko i jednym płynnym ruchem zdjął perukę. Wyciągnął ze schowka wilgotne chusteczki i zaczął zmywać z siebie resztki charakteryzacji. Wyciągnął z oczu kolorowe soczewki i odkleił sztuczny tatuaż z szyi.

Po wykonaniu tej całej ceremonii, wracania do swojego normalnego wyglądu, spojrzął na zegarek. Był środek nocy, a on w samym centrum lasu zastanawiał się, jak opowiedzieć o niepowodzeniu swojej misji. Zmęczony tym wszystkim zasnął na kierownicy...

I

Eric stał naprzeciwko swojego pracodawcy i patrzył na niego spod byka. Miał ochotę go zastrzelić za to, że się na niego drze i ubliża. Poprzysiągł sobie, że kiedyś się na nim zemści.

– Jak mogłeś jej nie zastrzelić, ty irracjonalny dupku? Myślisz, że jeśli nazywają cię najlepszym strzelcem to możesz wywijać takie numery?! Zastanawiam się czy nie powinienem napisać anonimu na policję żeby cię zgarnęli...! – Darł się w niebogłosy Lord.

– A może ja powinienem użyć tego... – odpowiedział spokojnie i bez większego zastanowienia wycelował w niego swojego

Glocka.

– Odłóż to, bo jeszcze sobie krzywdę zrobisz – pomimo braku wyraźnej reakcji na pistolet odrobinę się uspokoił, może nawet rozbawił. – Doskonale wiesz, że nie zrobiłbym tego, przynajmniej nie na razie.

– Ona mnie nie rozpozna, sam byś mnie nie poznał w tamtym tandetnym kostiumie – gestykułował mocno, trzymając w jednej z dłoni nabity pistolet. – I nie drzyj się na mnie, bo znajdę sobie innego pracodawcę, takiego, co lepiej płaci... – uśmiechnął się bezczelnie i usiadł na krześle z płynnością i gracją primabaleriny,

– Nie igraj ze mną gówniarzu... – pogroził mu palcem, a on odwzajemnił się lufą. – Twoje zlecenie na Bloody dalej jest aktualne. Masz tydzień... – powiedział z rezygnacją i usiadł naprzeciwko, za biurkiem.

– A jak nie to, co? – Zaczął sobie z nim igrać. – Napiszesz uwagę mojej mamie? – Śmiał się z niego i kpił w żywe oczy, dając mu do zrozumienia, że nie jest w stanie go do niczego zmusić.

– To twój zleceniodawca bardzo się zdenerwuje – tym razem to Lord patrzył z dumą i bezczelnością na swojego strzelca.

– A kto nim jest? W tym mieście znajdują się tysiące ludzi, którzy chcą śmierci Bloody. Z czego kilkaset ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapłacić za strzał – młodzik wstał i zaczął kierować się w kierunku drzwi.

– W życiu byś nie przypuszczał... Sam Vincent... – mówił powoli i ostrożnie, dzięki temu po plecach zabójcy przeszedł dreszcz.

– Nie pisałem się na mafijne porachunki – odpowiedział zatrzymując się, jednak nie odwracając twarzy w stronę gospodarza. – Rezygnuję!

– Za późno, zegar zaczął tykać. Jeśli nie zastrzelisz swojego celu to Vincent cię zastrzeli, jeśli zastrzelisz Bloody zastrzelą cię jego ludzie, jeśli uciekniesz ludzie Vincenta cię znajdą choćby na końcu świata, a jeśli... – przerwał mu.

– A jeśli zastrzelę Vincenta? – Dopytywał się chcąc znaleźć wyjście ze swojej beznadziejnej sytuacji.

– To jego ludzie cię dorwą i będą kroić na plasterki a potem przypalać żelazem, żeby krew nie upływała za szybko – powiedział z uśmiechem na twarzy.

– Kuszące – rzucił i opuścił pomieszczenie, nie chcąc dłużej przebywać w obecności tego człowieka.

– Tylko nie rób niczego, czego będziesz później żałował! – Usłyszał jeszcze na pożegnanie.

Ale on już go nie słuchał, trzasnął za sobą drzwiami i sprężystym krokiem udał się do wyjścia, chowając pistolet za pazuchą płaszcza. Był na siebie wściekły, był wściekły na Lorda, był wściekły każdą komórką swojego ciała. Wyszedł na ulicę i zaczerpnął powietrza. Rozejrzał się po zatłoczonej ulicy pełnej ludzi, którzy nic dla siebie nie znaczą. Nic nie znaczyło ludzkie życie w tych czasach, obecnie liczył się tylko portfel wypchany dolarami.

Chłopak miał dopiero dwadzieścia sześć lat. Ogarnął się i starał się dążyć do stabilizacji w życiu. Chodził na studia, kupił sobie mieszkanie, miał najbardziej nietuzinkową i fascynującą pracę na świecie, a ponad to czuł zbliżającą się chwilę, w której poziom adrenaliny w jego krwi podskoczy do sufitu.

Zaczynało padać, jednak on ani myślał o wzięciu taksówki. Założył na głowę czarną czapkę, którą chwilę wcześniej wyciągnął z kieszeni i zaczął powoli iść w znanym sobie kierunku. Myślał o Vincencie i Bloody. Byli to dwaj najwięksi mafiosi w dziejach tego stanu. Bloody kontrolował całe wybrzeże i skupiał się na obracaniu fałszywymi pieniędzmi i handlu bronią zaś Vincent miał ego, które chciało, aby stał się amerykańskim Pablo Escobarem.

Na początku obie mafie były jedną, jednak już od kilku lat widać wyraźny podział. Nie do końca było wiadomo, dlaczego tak się stało, jednak najważniejsze było to, że z powodu ich porachunków cierpieli niewinni ludzie. Nie było praktycznie miesiąca, w którym nie odbyła się jakaś strzelanina, czasami nie było tygodnia bez rozlewu krwi.

Wiedział, że znalazł się między młotem a kowadłem. Sam zastanawiał się kiedyś nad przyłączeniem do któregoś z frontów, jednak po długich rozterkach postanowił zostać wolnym strzelcem i nigdy tej decyzji nie pożałował. Doskonale zdawał sobie sprawę, że i tak w zasadzie pracował w większości dla ludzi Vincenta, ponieważ mieszkał w zasięgu jego wpływów i ten mógł go mieć na oku. Raz od wielkiego dzwonu ludzie z wybrzeża chcieli coś pozałatwiać za jego pomocą. Odmawiał tylko, jeśli ktoś kazał mu zabić kobietę, dziecko albo kogoś z ważniejszych ludzi w strukturach mafijnych i politycznych. Ten jeden raz dał się namówić, myślał, że za obiecane mu kilkanaście milionów dolarów spokojnie ukryje się na jakiejś bezludnej wyspie i będzie tam czekał na śmierć popijając drinki z palemką.

Dopiero po czasie dotarło do niego jak głupi i naiwny był.

Odłożył w specjalnych skrytkach, rozsianych po całych Stanach, trzy miliony. Drugie tyle wydał na życie przez ostatnie sześć lat swojej działalności. Nie żałował sobie na nic, ciuchy, które mu się podobały, apartament, niezły samochód...

Skręcił w zaułek i wszedł do Starbucksa. Szybko zamówił dwie kawy z karmelem, orzechami, bitą śmietaną i całą masą cukru. Dziewczyny pracujące tam już go znały, więc szybko napisały odpowiednie imiona na kubkach.

– Więc jakie plany na dzisiaj panie Bond? – Podśmiewała się blondynka wydająca mu resztę.

– Skąd pewność, że jestem ten dobry, może tak naprawdę jestem seryjnym zabójcą, a nie bohaterem angielskiego wywiadu – odpowiedział beznamiętnie.

– Och nie... Nie możesz być... – kelnerka udawała załamaną. – Przecież to by znaczyło, że te pieniądze, którymi płacisz pochodzą z portfeli twoich ofiar... – Dziewczyna miała naprawdę czarny humor, ale dzięki temu nie nudziła klientów, w przeciwieństwie do kierowniczk, która czasami się tam kręciła. – Czy to brudne pieniądze? – Dopytywała się nie wychodząc z roli.

– Nigdy nie twierdziłem, że nie ociekają krwią... – cmoknął dziewczynę w policzek, odebrał swoje zamówienie i rzucił szybkie. – Do zobaczenia Emily...

– Będę czekać – odpowiedziała, ciągle zaskoczona tym nagłym pocałunkiem.

Emily była ładna, zgrabna i wesoła, ale niestety nie kochał jej. Lubił z nią porozmawiać od czasu do czasu w oczekiwaniu na kawę, a czasem napędzić jej stracha, ale tak naprawdę pocałował ją tylko, dlatego że w okolicy pojawiły się okropne

plotki o nim. Przy stoliczku siedziało kilku jego najbliższych sąsiadów, którzy uparcie uznawali go za geja, na początku miał to gdzieś, ale jednak z czasem postanowił zawalczyć o prawdę.

Przebiegł jeszcze ostatnie czterysta metrów i wbiegł na klatkę schodową prowadzącą do jego mieszkania. Schody były drewniane, eleganckie z dodającą uroku, kunsztownie wykonaną barierką. Białe ściany ozdobione były reprodukcjami znanych dzieł sztuki. Znał każdy detal tych obrazów na pamięć.

Kiedy wspiął się na szóste piętro kamienicy zastukał do drzwi numer 13 i wyczekiwał, aż jego współlokator mu otworzy. Jednak nic się nie działo, poczuł niepokój i zastukał jeszcze raz. Zaczął walić w drzwi z całej siły. Już miał postawić kawę na boku i wyważyć drzwi, jednak w ostatniej chwili usłyszał dźwięk przekręcanego zamka.

Słyszał powolny stęk klucza i skrzypienie drzwi, które wolno się rozchyliły. Trzymając tackę w jednej, a pistolet w drugiej ręce otworzył drzwi nogą i wycelował broń przed siebie. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył swojego współlokatora mierzącego do niego mikserem.

– Ty idioto, mogłem cię zastrzelić! – Wydarł się na Ernique'a.

– Ja ciebie też! – Dokrzyczał do niego zlizując polewę z wiertła miksera. – Jaki ty jesteś nieostrożny... – powiedział z rozbawieniem i odebrał kawę ze swoim imieniem.

– Powiedz mi... Mam kasy jak lodu, wielkie mieszkanie na własność, chodzę na studia, mam świetną pracę, która daje mi satysfakcję... Po co mi jeszcze współlokator? – Popatrzył złowrogo i wycelował w przyjaciela.

– Żeby ktoś dał ci alibi, jeśli policja będzie o ciebie pytać – Latynos nic sobie nie robił z pistoletu i spokojnie usiadł przy

stole, na którym wylegiwał się świeżo upieczony murzynek. – Śmiało, nie krępuj się... – powiedział i sięgnął po kawałek ciasta. – Zrobiłem też polewę. Stoi w kuchni na blacie, podaj ją z łaski swojej – zaczął mówić z pełnymi ustami.

– Zdajesz sobie sprawę, że mam większe aspiracje niż próbowanie twoich zakalców? – Strzelec przyniósł miskę pełną płynnego sosu z białej czekolady i usiadł obok Ernique'a.

– Gdyby ci nie smakowały to wystarczałoby ich na więcej niż dwa dni – podśmiewał się lejąc po talerzu sosem. – Jak tam w pracy?

Eric nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie. Patrzył na twarz przyjaciela z miną mówiącą, że porusza temat tabu. Jednak ten naciskał go wzrokiem. Ernique miał czarne loczki na głowie, z których chciał zrobić sobie za jakiś czas afro, śniadą cerę i wielkie oczy w kolorze węgla. Chłopak był szczupły, wręcz wychudzony, co było nie do pomyślenia patrząc na ilości jedzenia, które pochłaniał. Miał pociągłą twarz, która zdawała się być czaszką z naciągniętą skórą. Był Amerykaninem meksykańskiego pochodzenia, a ze swoim wzrostem bez problemu mógłby zostać koszykarzem NBA.

Eric zaś wyglądał jak typowy nastolatek pomimo dwudziestu sześciu lat na karku. Miał blond włosy odrobinę zachodzące na oczy i uszy, oliwkowe oczy osadzone pomiędzy warstwami grubych rzęs oraz owalną twarz. Sięgał przyjacielowi zaledwie do ramienia. Doskonale opisywała go zasada „mały, ale wariat”. Nikt nie przypuszczałby, że ktoś wyglądający tak niewinnie mógł być urodzonym zabójcą. Zwykle na akcje charakteryzował się tak, aby nikt go nie rozpoznał. Czasami doklejał sobie wąsy, brodę, zakładał perukę i garnitur, a do ust wkładał cygaro,

innym razem wybierał gustowny żakiet, eleganckie buty i damską perukę. Miał wiele odstępów od biznesmena, przez dresiarza aż do starszej pani.

– Wiesz doskonale, że nic ci nie powiem, zdrajco – pociągnął solidny łyk kawy i zagryzł to ciastem. – Nawet ok, co ma być następne?

– Kokosowiec z brzoskwiniami i kremem waniliowym – odpowiedział z dumą. – Kto ma być następny? – Starął się dociec.

– Nikt ważny... – usiłował odwieść go od dociekania. – Nie pytaj, przejadę się wieczorem do Newark, a rano będzie po wszystkim... – kłamał w żywe oczy, był zupełnie bez planu i informacji.

– A kiedy pojedziesz ze mną do Filadelfii? – Pytał pomiędzy kolejnymi gryzami ciasta. – Poza tym nie wiem czy pamiętasz, ale obiecałeś jechać ze mną do Meksyku... – starał się odwieść go od planu wjazdu w samo centrum siedziby mafijnej szajki.

– Nie pamiętam – odciął się ostro. – Przecież nie jadę tam po głowę kogoś z ważniejszych ludzi Bloody... – nawiązał do swojej wyprawy do Newark, pociągnął solidny łyk żeby ukryć wyraz twarzy kłamcy.

– Kręcisz... Ale niech ci będzie... – Ernique zabrał talerze i puste kubki kawy do kuchni. – To, kiedy się gdzieś ze mną wybierzesz?

– Do grobu, jeśli dorwie nas mafia – powiedział sarkastycznym tonem. – Nie mógłbyś znaleźć sobie jakiejś dziewczyny i ją ciągać na wycieczki po Stanach?

– Mógłbym... Załatwisz mi numer do Angeliny Jolie? – Śmiał

się na cały głos.

– Jeśli to mi pomoże się od ciebie uwolnić to już po niego jadę – odciął się. – Gdzie położyłeś mój laptop?

– Jest pod twoim łóżkiem – odpowiedział gryząc jabłko.

– Nie jedz tyle, bo niedługo nawet dźwig cię stąd nie wywiezie – powiedział jeszcze Eric idąc w stronę swojego pokoju.

– Spokojnie, trzymam swoją wagę za mordę... Nie ma prawa się ruszyć – usłyszał jeszcze w odpowiedzi.

Strzelec zatrzasnął za sobą drzwi i wyciągnął swoją elektronikę spod łóżka. Szybko włamał się do systemu kamer, miał w tym dużą wprawę. Przejrzał kamery ustawione dookoła głównej siedziby Bloody. Zauważył, że na zewnątrz zawsze stoi czterech ludzi, podejrzewał, że zaraz za głównym wejściem jest około dziesięciu dobrze uzbrojonych ochroniarzy. Gabinet bossa było widać z ulicy. Musiał dostać się na trzecie piętro, omijając dziesiątki mężczyzn z bronią przy boku.

Nie wiedział, jak to zrobić, ani czy to w ogóle jest wykonalne. Miał dwa wyjścia: przebrać się udając członka Wschodniej Straży lub wejść tam przez tylne wyjście i powystrzelać wszystkich stojących mu na drodze. Z drugiej strony wcale nie musiał tego robić, mógł po prostu spędzić ten tydzień żyjąc jak nigdy wcześniej, a potem strzelić sobie w skroń. Żadna z opcji mu się nie podobała. Postanowił się z tym planem przespać kilka godzin. Miał do Newark około godzinę drogi, jeśli przed siedzibą Bloody byłby o dwudziestej to znaczyło, że mógł się przespać trzy godziny i zacząć przygotowania do akcji.

Jednak nie umiał nawet zamknąć oczu, czuł się jak wypruty z wnętrzości. Myślał o tym, że to największa akcja w jego życiu i o spadku formy, który go prześladował. Przewijał

w myślach wszystko, co wiedział o Wschodniej Straży. Analizował szczególne cechy ich wyglądu, pamiętał o tym, że przyjmowali w swoje szeregi jedynie amerykańców czystej krwi, kobiety i mężczyźni, nosili czarno, niebieskie ubrania, mieli wytatuowaną na ramieniu, zachodzącą na szyję niebieską różę z dziewięcioma kolcami i wielkim zielonym liściem...

Wtedy się ocknął, potrzebował tatuażu. Poderwał się jak rażony piorunem i wybiegł z prędkością światła. Szukał Ernique w kuchni, salonie, na balkonie a nawet w łazience, w jego pokoju też go nie było. Eric zaklął po cichu pod nosem i nerwowo wystukał numer do niego. Stwierdził w myślach, że chłopak zawsze znika wtedy, kiedy jest potrzebny, a kiedy powinien zniknąć czepia się jak rzep.

Dźwięk automatycznej sekretarki doprowadzał go do szału. Dzwonił kilka razy, bezskutecznie. Nie mógł się nagrać na automatyczną sekretarkę, ani wysłać SMS-a, bo to byłoby zbyt ryzykowne. Postanowił dzwonić dalej, aż do skutku, a w międzyczasie poszukać odpowiedniego stroju. Wszedł do swojej garderoby i otworzył wielką czterodrzwiową szafę, w której trzymał wszystkie kostiumy, peruki, przybory do charakteryzacji oraz broń. Część mieściła się w szafie pancерnej, jednak kilka egzemplarzy miał poukrywane w bardziej niedostępnych miejscach, tak na wszelki wypadek.

Wyciągnął czarną, krótką, męską perukę, szare szkła kontaktowe, bardzo jasne podkłady i pudry, delikatną, naturalnie różową pomadkę, pędzle, waciki, igiełki, klej, hennę, barwniki, kremy koloryzujące i parę skórzanych butów. Nie wiedział do końca, co na siebie założyć. Po dłuższym namyśle wyciągnął czarne spodnie od garnituru, czarną, luźną koszulę

i niebieską chustkę.

Ernique dalej nie odbierał, o oddzwonieniu nawet nie było mowy. Myślał, że zaraz trafi go jasny szlag. Miał tylko kilka godzin na to by idealnie ułożyć sobie w głowie wszystko, co chciał zrobić. Miał głęboką nadzieję, że wszystko się uda, że wróci stamtąd żywy, że wypełni powierzone mu zadanie, dostanie kasę i ucieknie gdzieś, gdzie będzie do końca życia szczęśliwie się bawił. Mógłby nawet zabrać ze sobą Ernique.

Otworzył szafę pancerną i wyciągnął z niej wystarczającą liczbę amunicji, pistolet Mausera, dwa podręczne noże o bardzo ostrych brzegach, stary rewolwer, kaburę i cztery granaty. Ponad to postanowił jeszcze zabrać swojego ulubionego Glocka. Zastanawiał się jak przemycić niezauważalnie taką ilość broni palnej do najlepiej strzeżonego budynku na wybrzeżu New Jersey, gdy nagle usłyszał, że dzwoni jego telefon. Rzucił wszystko, co miał w rękach i znalazł się przy smartfonie w mgnieniu oka.

– Gdzie ty się szlajasz?! – Krzyczał lekko zdenerwowany. – Zawsze, kiedy cię nie ma to jesteś potrzebny!

– Byłem w sklepie po zakupy i miałem wyciszony telefon, wychodzę, patrzę a tam sześćdziesiąt osiem nieodebranych połączeń – westchnął. – W czym ci jestem taki potrzebny?

– Potrzebuję tatuażu – rzucił zwięźle. – Masz piętnaście minut na to żeby być w domu albo wywalę twoją kolekcję płyt winylowych za okno!

– A jeśli będę w przeciągu pięciu? – Dopytywał się.

– Jeśli w będziesz tutaj za pięć minut i umalujesz mnie tak jak trzeba w przeciągu godziny to pojedę z tobą do tej głupiej Filadelfii... – połączenie zostało przerwane.